LOSY JACKA KOZIKA.

Opowieść wiejska z pod Moskala.

— Przez —

WIESŁAWA ŻMURSKIEGO.



CHICAGO, ILLINOIS.
Czcionkami i drukiem J.F. Smulskiego i Sp. 565 Noble St.
1898.

Losy Jacka Kozika.

Opowieść wiejska z pod Moskala.

— PRZEZ —

WIESŁAWA ŻMURSKIEGO.



CHICAGO, ILLINOIS.

Czcionkami i drukiem J. F. Smulskiego i Sp., 565 Noble St.

1898.




BIBLIOTHECA
VNIV. IAGIELL.
CRACOVIENSIS

Było już dobrze pod jesień, pożółkłe liście leciały z drzew za lada podmuchem wiatru, na polach czysto jak wymiótł i tylko gdzieniegdzie badyle i chwasty sterczały smutnie na miedzach, czekając, aż je zwarzy mróz i wbije w ziemię jesienna słota. Ludzie spieszyli się na gwałt z kopaniem kartofli i ścinaniem kapusty, która tego roku obrodziła jak rzadko, głowa w głowę bialutka, jędrna, nie zepsuta przez liszki.

Marcin Czajka, gospodarz z Jaworowa — wsi o kilka mil od Siedlec, z kartoflami uporał się wcześniej od innych, bo nietylko że oboje z kobietą byli ludzie zapobiegliwi, a pracowici, jak poszukać i dopędzali do roboty najstarszą dzieweczkę Zośkę, ale jeszcze przynajmowali po kilkoro ludzi do pomocy.

Z kapustą myśleli załatwić się sami, boć wiadomo, nie trudna to robota — tylko ciach nożem po głąbiu i już liściasta głowa leży w bróździe, czekając aż wsadzą ją do worka i zawiozą do domu. Do pomocy przyszedł tylko z własnej ochoty młody sąsiad Jacek, który będąc sam, Bóg wie jakim gospodarzem, dawno skończył ze swoim sprzątkiem, a chciało mu

się spojrzeć w oczy Zośki, która była jednem słowem dziewczyna jak malina; niejeden się oblizywał jak kot na spyrkę, gdy na nią popatrzał. Ona też, choć może nie była mu krzywa, ale zwyczajnie jak to każda dziewczyna, chciała się podrożyć z sobą i drażniła się z nim jak cygan z psem.

Z początku zbierali kapustę we dwoje z Marcinową, a Marcin wraz przyjeżdżał z wozem i zabierał, co było gotowe, ale pod wieczór, gdy już nie dużo pozostało, stara poszła do domu gotować wieczerzę i zostali tylko sami w polu. Czas jakiś milczeli oboje, zerkając tylko na siebie z pod oka, a Jacek ciął kapustę z takim zamachem, aż mu nóż wiązł do samego trzonka w ziemię. Dopiero gdy docięli ostatnią grządkę i dziewczyna chciała się już zabierać do domu, prosząc go, żeby zaczekał aż przyjdzie ojciec, chłopak zastąpił jej drogę i rzekł:

— Słuchaj, Zośko, powiedz że mi raz, czy ma co być z tego, czy nie?

— Z czego ma co być, cóż by? — zapytała dziewczyna, niby nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Ano, czy mam przysłać do ciebie swa-

tów, czy nie, bo kręcisz mną wciąż, jak szewc kopytem.

— At — poruszyła się niby z niechęcią — jeszcze czego brakowało. Mnie tam akurat swaty w głowie.

Chłopak aż zasapał ze złości i przekręcił czapkę na głowie.

— Wiem ja, wiem — mruknął gniewnie — odemnie to ci swaty nie w głowie, ale żeby tak Staszek się zapytał, tobyś mu tego nie odpowiedziała.

— I pewnie że nie, — drożyła się z nim dziewczyna —alboż to Staszek nie walny chłopak?

Nie odpowiedział nic, tylko się odwrócił do niej plecami i zaczął strugać zawzięcie jakiś patyk.

Dziewczyna patrzała na niego z filuternym uśmiechem, oskubując przewiędłe liście ze sterty głów, na którą zebrali kapustę, wreszcie sypnęła pełną garścią, zaśmiała się w głos i uciekła.

Jacek został w polu sam, zły na dziewczynę, a jeszcze więcej na siebie za to, że pomimo wszystko nie może się od niej oderwać. Próbował wmówić w siebie, że tak bardzo to go

nie obchodzi, że niejedna jest przecie dziewczyna na świecie, ale czuł, że nie wiele mu się przyda takie wmawianie i wreszcie cały gniew jego zwrócił się przeciw Staszkowi. Obiecywał sobie, że będzie dawał na nich pilne baczenie i jeżeli naprawdę okaże się, że tamten włazi mu w drogę, — no! zacisnął pięści jak dwa bochenki chleba i pogroził w stronę wsi.

Tymczasem nadjechał Marcin, nałożyli obaj w półkoszki resztę kapusty i poszli obok wozu ku domowi. Pomógłszy Marcinowi zwalić kapustę na wysłane słomą boisko, Jacek chciał się zabierać do domu, ale Marcin zatrzymał go, mówiąc:

— Nie chodź, Jacku, nie chodź, tam moja stara może zgotowała wieczerzę, to i podjemy so razem.

Weszli do izby i Jacek aż zadrżał ze złości, ujrzawszy tam Staszka, który też po sąsiedzku zaszedł na wieczorną pogadankę, bo Marcin był człek piśmienny i niejedną książkę przeczytał i gazety trzymał, i zawsze chętnie słuchał, gdy mu kto opowiadał coś nowego, choć jak zaczął sam mówić, to też było czego posłuchać.

A że Staszek, powróciwszy niedawno z

wojska, miał się za bardzo mądrego i rad się chwalił z tem, co on widział na żołnierce, byle go kto zechciał słuchać, więc też często zachodził do Marcina. Pozdrowiwszy go, Marcin zwrócił się do żony, która się krzątała przy kominie i rzekł:

— A no, stara, dawaj co tam masz.

Zośka posadziła na łóżku małą siostrę, z którą się zabawiała, dostała z szafy chleb i łyżki i podstawiła matce miskę, na którą ta zaczęła wytrząsać z dużego garnka ziemniaki. Potem wyniosła z komory drugą miskę ze zsiadłem mlekiem i wszyscy zasiadłszy w koło ,zaczęli jeść w milczeniu i nie spiesząc się.

Gdy sobie podjedli cokolwiek, Marcin zapytał Staszka:

— Cóż tam wasi już się oporządzili z kapustą?

— A jeszcze tam coś zostało, —- odrzekł, mnąc w gębie ziemniaka, który mu parzył język, — ale już niedużo, obejdą się i bez mojej pomocy, bo mnie jutro chyba nie będzie w domu.

— A gdzież ty się wybierasz?

—`Byłem dzisiaj u strażnika Iwanowa — rzekł niedbale Staszek, jakby się pysznił, że ma

takie znajomości — i prosił mnie, żebym go zawiózł do Siedlec na odpust.

Marcin popatrzał na niego przez chwilę i zapytał:

— A po cóżeś ty chodził do Iwanowa?

— Tak, — pogadać troszkę...

— Nie masz to ty już z kim więcej gadać, żebyś potrzebował szukać aż tego hyclowskiego moskala?

— I czegoż to on ma być hyclowski, oburzył się Staszek: taki człowiek jak i inni, tyle że Moskal.

— Otóż to, otóż to, że Moskal, powtórzył Marcin: już dla tego samego nie powinieneś się do niego garnąć, bo to wszystko psy, a ten jeszcze gorszy od innych.

— Co wy tam pleciecie, psy, psy!.... jakąż oni wam krzywdę robią?

— Jaką krzywdę! to ty nie wiesz jaką? A powiedz że mi, czem to ty jesteś?

— Czemże mam być, wiadomo chłop jestem i tyle!

— Tak to tak, ale jaki chłop? Czy Polak, czy Moskal, czy Niemiec!

— Ot, zwyczajnie sobie chłop katolicki, jak i wy, jak i my wszyscy.

— Nie, bratku, odparł Marcin: ja jestem nietylko chłop katolicki, ale przedewszystkiem Polak.

— A bo to prawda, machnął ręką Staszek, boć przecie czytałem własnemi oczyma, że Polacy to tylko szlachta, a my sobie chłopi, poddani moskiewskiego cara.

— Oj głupi, głupi, rzekł Marcin, kiwając z politowaniem głową: i gdzieżeś to ty wyczytał takie rzeczy?

Staszek się zawstydził, że go tak publicznie nazywają głupim, a słysząc, jak zaśmiała się z niego nawet Zośka, której nie mało nałgał o swojej mądrości, odparł gniewnie: wiadomo gdzie: w wojsku sami starsi, którzy są mądrzejsi od was, mówili mi o tem nieraz, dawali takie książeczki, w których wyraźnie jak byk stało napisane tak, jak mówię.

— E, takie książeczki to i ja widziałem, odparł Marcin: nie mało nam tu ich nadawali z gminy, i wiem co w nich piszą. Ale dla tego właśnie są psy podłe, że okradłszy nas z naszej ojcowizny jak jacy zbóje, teraz chcą nas do reszty obałamucić, żebyśmy nawet nie wiedzieli, kim jesteśmy, jak jakie bydlęta nierozumne.

Staszek aż się zgiął we dwoje i ze strachem spojrzał w okno. — Hej Marcinie, zaczął upominać, dajcież wy sobie spokój! Żeby tak kto usłyszał, no!... poszlibyście wy pod sąd wojenny.

— Głupiś ty razem ze swoim wojennym sądem, przerwał mu Marcin: my też sami sprawimy im kiedy taki sąd za wszystkie łajdactwa i mękę, którą nam czynią, że będą uciekać, i aż się będzie kurzyć za nimi. Tyś wyczytał, że nie jesteś Polakiem, głupi chłopie, a na jakiejże to ziemi urodziłeś się, jaka matka wykarmiła cię swojem mlekiem, od kogo nauczyłeś się chwalić Pana Boga swoją polską mową, — o tem nie słyszałeś? Nie powiedzieli ci tego? Widzisz, czego cię nauczyli ci twoi starsi, bogdaj ich Bóg ciężko za to pokarał! Zapomniałeś mówić prawie po swojemu, jak twoi ojcowie mówili, zaprzedałeś swoje sumienie, i już ty nie nasz, już ty moskiewski sługa.

Stary chłop machnął ręką i jakby chcąc przerwać dalszą rozmowę, zaczął ściągać z wieszaka kożuch, zabierając się do wyjścia. Staszek siedział w milczeniu, nie śmiejąc oczu podnieść, czując, że zawinił tu czemś takiem, czego nie rozumiał, a powinien był zrozumieć i co

rozciągało jakby jakąś przepaść między nim i tymi ludźmi, którzy byli mu przecież bliżsi i drożsi od wszystkiego, do których nieraz serdecznie zatęsknił na swojej żołnierce. Spojrzał zpodełba na obecnych i widząc, że Jacek się ogląda za czapką, a Marcinowa z Zośką zmywają naczynia, rzucając na niego od czasu do czasu surowe spojrzenie, wstał i rzekłszy cicho: ostajcie z Bogiem, wyniósł się z izby. Niezadługo za nim wyszli i Marcin z Jackiem. Jacek przelazłszy tylko przez płot, był już na swojem podwórku, a Marcin poszedł do obórki i stajni obejrzeć, czy dobytek dobrze jest na noc uwiązany i zaopatrzony. Idąc szeptał z cicha pacierze i wzdychał, bijąc się kornie w piersi, dziękując Bogu za szczęśliwie spędzony dzień i prosząc o takież przebudzenie. Obejrzawszy wszystko dokładnie, wyszedł jeszcze przed bramę i spojrzał na błonie wiejskie, na samym końcu którego stała karczma; tam też było ciemno, bo każdy, napracowawszy się dobrze w dzień, rad był zażyć wczasu i tylko w okienku w jednej stancyi, którą odnajmywał od arendarza strażnik, świeciło się jeszcze. Marcin wpatrzył się w to światełko, migocące nierównym blaskiem przez zabrudzone szyby i

westchnął z głębi piersi. Przed oczami stanęła mu jak żywa scena, która zdarzyła się na tem samem błoniu i na całe życie utkwiła mu w pamięci. Było to w r. 1863. Przed karczmą, trzymając konie za uzdy, stała gromada kozaków, a pośród nich chłop w podartej sier międze, bez czapki na głowie. Z pod włosów sączyła mu się krew, spływając strugą po czole i twarzy i kapiąc na odsłoniętą pierś, zczerniałą i zapoconą koszulę.

— Ty gdzie chodził z tym listem, ha? pytał go drwiąco starszy: do powstańców chodził, wiadomości nosił? Chłop milczał, uparcie trzymając oczy utkwione w ziemię.

— Gdzieś chodził, pytam się ciebie, chamska duszo, wrzasnął nad nim, targając go ze wściekłością za zlepione krwią w jeden kołtun włosy.

Chłop zachwiał się na nogach, pobladł z bólu, ale nie pisnął ani słówka.

— Wal psiego syna! zawołał do swych podwładnych, wycierając ze wstrętem skrwawioną dłoń o końską grzywę.

Porwało go z dziewięciu naraz, zdarli z niego koszulę i zaświstały w powietrzu nahajki,

wyrzucając za każdym machnięciem w górę strzępy ciała i krople krwi.

— Co, powiesz, gdzieś chodził? zapytał, gdy chłopa podmoczyła już kałuża krwi.

Nie odezwał się nic.

Dalej machnął ręką.

Znów zaświstały nahajki, ale chłop już się nie poruszał, omdlał z bólu.

— Na gałąź z nim, zabrzmiał rozkaz. Dwóch pochwyciło chłopa za nogi, wlokąc go do najbliższego drzewa, trzeci przerzucił już powróz przez gałąź i robił na jednym jego końcu zadzierg.

Naraz zatętniały na gościńcu dziesiątki kopyt końskich i z tumanu kurzu padło kilka strzałów. Kozacy porzuciwszy chłopa dopadli koni i zaczęli umykać w przeciwną stronę, jeden tylko zdążył jeszcze dźgnąć go w przelocie piką.

Za chwilę goniący i uciekający zniknęli za wzgórkiem i tylko pojedyńcze strzały odzywały się od czasu do czasu. I z za węgłów zaczęli wypełzać na wpółżywi ze strachu ludzie, między nimi był i Marcin. Podeszli do leżącego wciąż bez ruchu chłopa, zaczęli bryzgać na niego wodą. Po długiej chwili otworzył nareszcie

oczy, żył jeszcze. Zawdzięczając to swojej silnej naturze wytrzymał setki razów, pikaześlizgnęła mu się po żebrach i wylizał się. To był ojciec Staszka. Marcin pokiwał smutnie głową i pomyślał sobie: I to jego rodzony syn tak teraz mówi, o mój Boże, mój Boże. Zrobiło mu się tak słabo na sercu, że gdzie stał, upadł na kolana, oparł siwą głowę o żerdzie płotu i łzy grube jak groch trysnęły z jego oczu na pomarszczone policzki. O słodka, Przenajświętsza Panienko, szeptał gorąco, ratuj nas, ratuj, osłoń nas biednych przed nadmiarem niedoli, bo oto szatan własną krew przeciwko nam burzy. Matko dobrotliwa, myśmy słabi i bezrozumni, ale kochamy Cię całem prostaczem sercem! prowadź nas za ręce jak małe dzieci, nie daj nam zczeznąć z oblicza ziemi, nie daj! Długo klęczał Marcin zatopiony zupełnie w gorącej, prosto ze serca płynącej modlitwie, aż obudził go nareszcie pies, który poczuwszy swego pana, zaczął się łasić do niego i skomleć radośnie. Wstał, pogłaskał wierne stworzenie i z dziwnie pokrzepionem sercem udał się na spoczynek.

Nazajutrz Jacek ujrzawszy blask świtu przez szczeliny stodoły, w której sypiał, zerwał

się prędko, narzucił na siebie kożuch, bo ranki były już dobrze chłodne i poszedł budzić młodszego brata, aby wyganiał bydło w pole. Sam wyprowadził ze stajni szkapy nieduże, ale okrąglutkie jak wałki i pojechał do wody. Czuł się takim rześkim, zdrowym, świeży poranek uśmiechał się do niego rumianą jutrzenką, ale on wesół nie był i spojrzawszy w przejeździe w okna Marcinowej izby westchnął sobie: Och, ta dziewczyna, co ona ze mną wyrabia! Jechał powoli ze spuszczoną głową, gdy nagle usłyszał za sobą głos, od którego serce radośnie mu zabiło. To Zośka, rumiana jeszcze ze snu, biegła z konewkami po wodę i ujrzawszy go wołała: Jacek, a przyjdź do nas dzisiaj, pomożesz nam kapustę szatkować.

Chłopak ucieszył się w duchu z tego zaproszenia, ale pomyślawszy sobie, że może dobrze by było odpłacić Zośce pięknem za nadobne i też podrażnić się z nią trochę, udał, że mu to nie sprawia wielkiej przyjemności i odpowiedział obojętnie: dobrze, może po obiedzie, jeśli mi co innego nie wypadnie.

Zośka popatrzyła na niego zdziwiona jego obojętnym tonem, który pierwszy raz od niego słyszała i aż ją złość zdjęła. Chciała mu już

odpowiedzieć, że jeżeli mu się nie podoba, to może sobie nawet wcale nie przychodzić, ale w tej chwili uwagę ich obojga zwrócił na siebie wyjeżdżający ostro z za karczmy wóz. Przyjrzeli się jadącym i poznali Staszka ze strażnikiem. Spostrzegłszy ich Staszek, odwrócił głowę, udając, że ich nie widzi i śmigał tylko batem na psy, które skakały naokoło wozu przed końmi, rade, że mają jaki taki powód do szczekania.

Poznałaś swego Staszka, zapytał zjadliwie Jacek. Co? widzisz, jak to się wysługuje moskalowi!

Zośka obruszyła się ze złością i nie oglądając się na niego, prędko poszła swoją drogą. Popatrzał za nią nie wiedząc sam, co oznacza ta jej złość, i zaraz po śniadaniu, obrządziwszy się ze swojem gospodarstwem, poszedł do Marcina. Tam już się zabierali do roboty. Marcinowa z Zośką obierały kapustę z powiędłych liści, a Marcin stojąc nad stołem posuwał skrzyneczkę wypełnioną oczyszczonemi główkami po ostrych nożach szatkownicy i za każdem posunięciem długie białe skrawki leciały w podstawione niecki. Ujrzawszy Jacka zatrzymał się i rzekł: oj to to, dobrze żeś przyszedł,

będziemy zaraz siekać na drobno. Samemu jakoś to nie idzie. Zaraz też wysunęli na środek izby szeroką wannę, nasypali kilka worków główek i stanęli opuszczać w takt tasaki, które tonęły prawie po samą rękojeść, w miękkiej kapuście, siekając ją na drobną kaszę. Robota szła bez przerwy do samego południa i dopiero gdy Marcinowa postawiła na stole misę ze strawą, otarli zeznojone czoła i zasiedli do posiłku. Ledwie zaczęli jeść, na wiejskiem błoniu dał się słyszeć turkot wozu, który ucichł w sąsiedniem podwórku.

Pewnie Staszek wrócił, zauważył Marcin. Jacek spojrzał na Zośkę, która od samego rana boczyła się na niego i teraz spotkawszy się z jego wzrokiem odwróciła się szybko, i rzekł: a widziałem go zrana, jak jechał ze strażnikiem, może już i wrócił. Jakoż poznali głos Staszka, który zaczął z kimś rozmawiać na swojem podwórku. Szkoda chłopca, mówił Marcin, nie taki on był dawniej, i cóż z niego teraz zrobili.

Sam sobie winien, wtrącił Jacek, czego taki głupi.

Winien to winien, ani słowa, ale więcej winni ci, którzy potrafili tak mu zawrócić gło-

wę, że teraz sam nie wie, co plecie i czego się trzymać.

Ano, nie jest przecież dzieciakiem, mruknął Jacek, niekontent, że słowa Marcina mogą zmniejszyć winę Staszka w oczach Zośki, którą i bez tego podejrzywał o zbytnią przychylność ku niemu.

Ho, ho, widać, że jesteś jeszcze bardzo młody, kiedy tak mówisz — odparł Marcin. Mają oni sposoby nietylko na dzieciaków, chytrzy oni są gorzej od tej żmii, co to potrafi tak cichaczem podpełznąć, że poczujesz ją dopiero wtedy, gdy cię żądłem zakłuje. Jacek nie odpowiedział nic,tylko spojrzał z ukosa na Zośkę, która słuchając ojca patrzała przez okno na sąsiedni ogródek, zkąd dolatywał odgłos rozmowy. Oho, pomyślał: to tak? to ty już nasłuchujesz, gdzie on się tylko ruszy! Ha, przepadłaś ty widać, dla mnie! Zwiesił smutnie głowę, bo dziewczyna nie żartem chwyciła go za serce, i nie chcąc dać po sobie poznać swego smutku, został i do samego wieczora pomagał Marcinowi, ale robota jakoś mu nie szła, Staszek kręcił się wciąż po swoim ogrodzie, jakby nie śmiał wejść do izby Marcina, a chciał żeby go zobaczyli, i co Jacek spojrzał przez o-

kno, owiała go taka pasya, tak plątał i szczękał tasakami, nie myśląc o tem, co robi, że aż Marcin wreszcie zwrócił na to uwagę. Cóżeś ty się zmordował chyba, czy co — zapytał.

Jacek aż się zaczerwienił, że ta jego niezdarność do reszty zgubi go w oczach Zośki, ale westchnął tylko i opuszczając tasaki rzekł: A, nie wiem, co mi takiego, ale lepiej przestać póki czas, bo mogę was jeszcze skaleczyć na dobitkę złego.

Złożył prędko tasaki i nie oglądając się na nikogo, żeby nie poznali po nim żałości, którą aż się dławił, wyszedł z izby. Ciemno już było, więc i Marcin zaprzestał roboty i poszedł napoić konie i zasypać im na noc obroku. Gdy wyjechał na błonie, młodsza jego córka Kasia spędzała do wody bydło. Zatrzymał się i uważnem okiem troskliwego gospodarza zaczął oglądać każdą sztukę.

A co to się stało Kalinie, zapytał, zauważywszy u jednej krowy na boku gruby wystający prążek.

Kawula Staszkowa pobodła ją, bogdaj skapiała, zaczęła beczeć dziewczyna, chcąc odwrócić od siebie gniew ojca. No, no kawula, a

gdzieżeś to ty wtedy była? nie mogłaś to pilnować, nie wiesz, że krowa cielna?

Pilnowałam, tatulu, broniła się, ale to takie paskudne bydlę, ze wszystkiemi się bodzie.

Marcin pogroził jej palcem, ale w tej chwili zjawił jej się niespodzianie obrońca w osobie Staszka, który widocznie czekał tylko sposobności, żeby zagadać do Marcina.

To prawda, że paskudne bydlę, poświadczył, ale niech no do pierwszego jarmarku, to już ja ją puszczę między ludzi.

Kiedy to jeszcze będzie jarmark, odparł Marcin z niezadowoleniem, a tymczasem wszystkie krowy mi pobodzie.

A cóż z nią zrobić, mówił Staszek takim tonem, jakby chciał koniecznie rozbroić Marcina: chyba rogi przyciąć, ale że to ja nie wiem jak,—może byście wy...

Idź do Iwanowa, to cię nauczy jak, odparł Marcin niechętnie, lecz spojrzawszy z ukosa na Staszka i widząc, jak sam nie wie, co ma z sobą robić, zmiękł trochę i po chwili zapytał: a piłkę ostrą masz? Jest tam gdzieś, jest, odparł z żywością Staszek, jakbyście tylko zechcieli, to ja ją wnet wyładuję.

No, to chyba aż jutro rano, rzekł Marcin,

bo teraz po nocy to już nie ma jak. Jechali jakiś czas obok siebie w milczeniu, aż Marcin znów zapytał: No i cóż nacieszyłeś się ze swoim moskalem, zapłacił ci choć aby za drogę?

Co miał zapłacić, wódki mi tylko kupił w mieście.

I wartoż to było konie pędzić dla takiego psiego sługi, ej Staszek, Staszek.

E, bo wy, Marcinie, upatrujecie sobie coś złego w tem, a ja doprawdy nie wiem, co takiego.

To właśnie źle jest, że nie wiesz. Widzisz komu innemu jeszcze by to prędzej uszło, ale tobie nie godzi się przez pamięć na twego ojca.

Albo co, zapytał Staszek.

Co? to ty nie wiesz, co oni robili z twoim ojcem? i zaczął mu opowiadać scenę z przed wielu lat, w której ojciec Staszków o mały włos życia nie postradał.

Staszek słuchał w milczeniu i wysłuchawszy do końca rzekł: Już to mi matka mówiła coś o tem, ale po co wtrącali się do tego, co do nich nie należało.

Marcin aż się żachnął i popatrzał z wielkim gniewem na Staszka, ale po chwili zmitygował się: Ba, warteś ty łozy za takie gadanie

rzekł, ale trudno, nie twoja w tem wina, że masz głupią głowę. — Umilkł i pogrążył się w zadumę. Nie, myślał sobie, niedoczekanie wasze, żebyście mieli tuczyć się naszą krwią, póki jest choć trochę ludzi dobrej woli. Nie dam ja go wam na pożarcie, nie! I jak by pod wpływem jakiegoś postanowienia rzekł do Staszka, kiedy już podjeżdżali do domu: Jak się obrządzisz, zajdź do mnie, pokażę ci coś.

Staszek przystał z ochotą i ledwie Marcin wrócił do izby, zjawił się tuż za nim. Powieczerzali razem i kiedy młodsze dzieci pokładły się już do snu, Marcin zdjął lampę z gwoździa na ścianie i podkręciwszy knot, postawił ją na stole i zaczął zamykać okno.

Czego zamykacie, zapytał Staszek ździwiony takiemi przygotowaniami, gorąco jest.

A tego, odparł Marcin, żeby twój moskiewski przyjaciel nie usłyszał, co nie do niego mówią, bo ja wiem, że on lubi czasami nadstawiać uszy pod cudzemi oknami. Poczem zwróciwszy się do starszej córki, rzekł: Wyjdźno Zośka, popatrz tam koło domu, a sam wyszedł za nią do sieni i niebawem powrócił z jakąś nieduża paczką, starannie zawiniętą w czystą szmatkę.

Tymczasem Zośka zajrzała do ogródka, na który wychodziło jedno okno, potem na podwórko i nareszcie wyszła za wrota i wsparłszy się na płot, w zamyśleniu wpatrzyła się w oświecone jeszcze okno Jackowej chaty. Przypomniała sobie, jaki to on był smutny ostatniemi czasy i żal jej się zrobiło serdecznie. Biedny, myślała sobie, on taki dla mnie dobry, a ja wciąż drażnię się z nim, nie przymierzając jak kot z myszą.

Nie, trzeba już raz dać temu spokój! Rada by była, żeby choć zaraz zobaczyć go i pocieszyć: choć nie chciała przyznać się sama przed sobą, ale w głębi duszy czuła, że i jej zrobiło się dużo smutniej od czasu, jak się zaczęli na siebie boczyć.

Czekała więc, żeby go choć zdaleka zobaczyć, jak będzie wychodził z izby, gdy nagle poczuła, że ktoś ją z tyłu uchwycił wpół. Odwróciła się przestraszona i przestraszyła się jeszcze bardziej, poznawszy, kto ją tak z nienacka napastował.

To był strażnik Iwanow, który przyzwyczaiwszy się na swojej służbie do kociego chodu, podszedł ją tak cichutko, że go wcale nie słyszała. Jego nieduże szare oczki świeciły się

jak u wilka, z otwartych, przysłoniętych strzyżonym wąsem ust buchał zapach gorzałki.

— Aha, moja gołąbko — śmiał się — złapałem cię nareszcie, już ja nie mało czasu na ciebie polowałem.

Dziewczyna szarpnęła mu się z całych sił, nie chcąc krzyczeć, gdyż bała się, że ojciec, posłyszawszy, może w zapalczywości narobić jakiego nieszczęścia, ale Moskal był mocny i nie puszczał jej.

— O, nie — mówił — nie tak to łatwo! nie puszczę, póki choć pocałunku na początek nie dostanę — i zaczął szamotać się z nią, chcąc ją gwałtem pocałować.

Dziewczyna broniła mu się z całych sił, wreszcie widząc, że nie da rady, tak mu wbiła ostre paznokcie w policzki, że Moskal aż jęknął z bólu, ale w rozjuszeniu jeszcze bardziej zaczął na nią nastawać, zasłaniajac jej ręką usta, żeby nie mogła krzyczeć.

Nie wiadomo, na czem by się to skończyło, gdy w tem w Jackowej izbie skrzypnęły drzwi i strażnik, nie chcąc mieć świadków swoich obcesowych zalecanek, puścił dziewczynę i oddalił się szybko, obcierając z twarzy krew,

która kroplami występowała po Zoścczynych paznokciach i mrucząc ze wściekłością:

— Poczekaj ty parszywa Polaczko, zrobię ja jeszcze z tobą, co będę chciał!

A Zośka oparła się plecami o płot, dygocąc jak we febrze i nie mogąc tchu złapać ze zmęczenia. Słyszała, jak otwierały się wrota z sąsiedniego podwórka na błonie, i jak ktoś zbliżał się ku niej.

Poznała Jacka po chodzie, i gdy był już o parę kroków od niej, raptem nie mówiąc ani słowa, chwyciła się go rękami, aż się chłopak przestraszył, i zaczęła płakać w głos.

— Zośka, toś ty, co tobie — wołał przelękniony, poznawszy ją, ale dziewczyna, na razie nie mogła słowa przemówić, dławiąc się łzami, i dopiero po dobrej chwili wykrztusiła:

— Oj, Jacek, Jacek, jakie to szczęście, żeś ty wyszedł w samą porę.

Chłopak aż usta otworzył ze zdziwienia, nie mogąc nic a nic zrozumieć, aż kiedy dziewczyna opowiedziała mu, co było, porwał się jak szalony, i zaciskając pięści, wykrzyknął:

— O hycel, zabiję go jak psa wściekłego!

Chciał biedz, ale dziewczyna trzymała go z całych sił za rękę, prosząc:

— Jacek, mój ty, daj spokój! co ty jemu możesz zrobić? siebie zgubisz tylko, i tyle.

Zatrzymał się i nagle podejrzenie jak błyskawica przeleciało mu przez myśl:

— A pocóżeś ty wychodziła tu tak późno? — zapytał. — Czyś czekała na kogo?

— Ojciec kazał wyjrzyć, czy się kto nie kręci koło domu — odparła, zrozumiawszy, o co mu chodzi — bo czytają tam coś ze Staszkiem.

— Aha, ze Staszkiem — mruknął chłodno, odsuwając się od niej, ale dziewczyna zatrzymała go.

— Jacek — mówiła cicho — nie gniewaj się na mnie, przecież ja go nie proszę, żeby przychodził.

Chłopak zmiękł od razu pod wpływem jej głosu i wziąwszy ją pod rękę zaczął mówić:

— Zośka, miej ty Boga w sercu, powiedz mi raz nareszcie, co o mnie myślisz, bo naprawdę już mi wytrzymania brak z tem wszystkiem.

Nie odpowiedziała na razie nic, ale ręki mu nie wyrywała, ino spojrzawszy na niego, rzekła po chwili:

— Ja nie wiem, co powiedzą ojciec z matką!

— A ty, a ty sama? — pytał, czując jak radość postępuje mu do serca.

— Ha, jak się ojcowie zgodzą, to i ja nie będę sprzeczna.

Przygarnął ją do siebie i zaczął mówić pieszczotliwie:

— O moje ty złoto, i nacóżeś ty tyle czasu zadawała mi taką mękę?

— Sameś sobie winien — odparła — dla czegoś się nie umiał poznać.

— Toś ty nigdy nie miała w głowie innego, tylko mnie?

— Ma się wiedzieć, że nie.

Chłopak poczuł w sobie tyle radości, że aż mu łzy w oczach zaświeciły. Tulił w milczeniu dziewczynę, i dopiero, gdy ta, uspokoiwszy się już zupełnie, chciała wracać do domu, zapytał:

— I kiedyż przysłać swatów?

— Mnie nie pilno — odpowiedziała żartobliwie — a ty jak chcesz!

Zaśmiała się do chłopca, który patrzał na nią jak na obrazek, i wróciła pocichutku do domu.

Matka już spała, Marcin czytał coś na

głos, podsuwając książeczkę pod światło niebardzo jasnej lampki, a Staszek wsparłszy głowę na dłoniach, słuchał z oczami świecącemi gorączką, zapatrzony w czytającego, jakby jeszcze wzrokiem chciał chwytać każde słówko.

Wsłuchawszy się trochę, Zośka poznała od razu, o co chodzi, bo sama czytała już nieraz i słyszała, jak ojciec przy święcie czytywał tę książeczkę starszym sąsiadom. Było to opowiadanie, jak w jednej wsi, w Krożach, Moskale pastwili się i do śmierci katowali ludzi za to, że bronili swego kościoła. Marcin czytał jeszcze dobrą chwilę, aż wreszcie skończywszy czytanie, złożył książeczkę, i zapytał Staszka:

— Co, w wojsku nie dawali ci tego do czytania?

Staszek potrząsnął tylko z niecierpliwością głową, a Marcin mówił dalej:

— Widzisz, jakie zbrodnie dzieją się w naszym nieszczęsnym kraju, jak się znęcają nad nami ci, z którymi ty się chcesz bratać! Ale czy to tylko tyle? czekaj, będzie jeszcze kiedy czas, to ci przeczytam takie rzeczy, że ci od nich włosy na głowie powstaną, i przestaniesz gnąć do tych piekielników i mówić, że twój ojciec wtrącał się, do czego mu nie należało.

Staszek słuchał w zamyśleniu z opuszczoną głową i widać było, po wyrazie zaciętości, w którą się przyoblekała jego twarz, że w myślach jego dzieje się jakiś przewrót, wróżący niebardzo dobrze dla tych, o których rozmyślał.

— Powiedzcie mi, zapytał, zkąd wy bierzecie takie książeczki?

— A, są dobrzy ludzie, którzy mi dają, żeby przed nami prawdy pod korcem nie chowano na naszą zgubę, odparł Marcin: Ale kto to jest, o tem może się dowiesz kiedy później. Wstał i zawijając książeczkę, rzekł: No, będzie dosyć na dzisiaj; kiedy przy wolnym czasie może ci znów przeczytam coniebądź, jeżeli nie będziesz więcej jeździł z Iwanowem.

Staszek skrzywił się tylko, jakby go to wspomnienie zapiekło, i pożegnawszy Marcina poszedł do domu. Położył się zaraz spać, ale długo przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, i rozmyślając nad tem wszystkiem, co usłyszał. Usnął dopiero nad samym rankiem, lecz wkrótce obudził go głos matki.

— Co tam? zapytał przeciągając leniwie członki, które nie zdążyły jeszcze dobrze wypocząć i przecierając zaspane oczy.

— Wstawaj, mowila matka, wstawaj, przyszedł tu Iwanow, żebyś z nim jechał do gminy.

— A jakże, odburknął przewracając się na drugi bok: Zasmakowało mu! Powiedzcie, że koń okulawiał, niech sobie szuka kogo innego!

Zasypiał już na nowo, kiedy usłyszał głos samego Iwanowa.

— Ej ty, wołał, słysz, wstawaj, pojedziemy do gminy.

— Ej, panie, kiedy naprawdę koń zakulał, wymawiał się Staszek.

— Nu, co ty bredzisz, od wczoraj ci zakulał! a wreszcie co to szkodzi, można i o jednym dojechać.

— E, kiedy naprawdę koń mi się zmacha!

— Nu, nu, ja tobie dam, zmacha! co ty w rządowym interesie nie chcesz jechać, zakrzyknął na niego, wstawaj zaraz, bo, ja cię zasadzę za nieposłuszeństwo na chleb i wodę!

Staszek zaklął w duchu, i zaczął się podnosić zwolna mrucząc pod nosem: Ot przyczepiło się nieszczęście, a samem sobie winien! Zaprzągł konia ze złością, i nie odzywając się ani słówkiem siadł na wozie.

Ty mi się spróbuj buntować, mówił Iwanow, gramoląc się za nim: Ty nie wiesz, że po carskiej służbie choćbyś miał skonać, a słuchać trzeba. Ruszaj!

Staszek pojechał zwolna, starając się robić jak najmniej turkotu, żeby go choć Marcin nie spostrzegł, ale jak na nieszczęście, zajechawszy po drodze napoić konie, zastał go też z końmi u wody. Pozdrowił go, nie śmiejąc podnieść oczu i nie czekając nawet, aż się konie zdążą dobrze napić, dał im po bacie, i ruszył z miejsca tak ostro, aż woda zakipiała pod kołami, i strażnik, który niespodziewał się tego, o mały włos nie wywinął kozła.

— Nu ty, szalony łbie, upominał go, ale Staszek nie odzywał się, tylko pędził wciąż, chcąc go się jak najprędzej pozbyć. Powrócił do domu dopiero po południu, i zaspokoiwszy na prędce głód, który dał mu się dobrze we znaki od samego rana, poszedł zaraz do Marcina. Marcin z Jackiem znów był zajęty przy kapuście i ujrzawszy Staszka, ledwie że odpowiedział na jego pozdrowienie.

— Marcinie, doprawdy nie macie się za co na mnie krzywić, zaczął od razu Staszek: Ja nie chciałem, ale, jak się do mnie uczepił, a

zaczął wygrażać, to i cóż było robić, musiałem.

— A widzisz, rzekł udobruchany Marcin, czego to on się do mnie nie czepia, tylko do ciebie. Sameś sobie winien.

— Pewnie, że sam; ale cóż, muszę teraz cierpieć. Usiadł na ławie pod oknem i w milczeniu przypatrywał się miarowym ruchom Marcina i Jacka, któremu dzisiaj już nic w robocie nie przeszkadzało, i machał ochoczo tasakami, spoglądając tylko od czasu do czasu na Zośkę, która z założonymi rękawami miesiła na czyściutkiej stolnicy ciasto na kluski.

— Marcinie, zaczął po chwili Staszek, znudziwszy się milczeniem: Może jabym zastąpił was przy robocie, a wybyście tymczasem poczytali co.

Marcin uśmiechnął się nieznacznie. Podobało ci się? zapytał, ale dzisiaj to nic z tego nie będzie; jutro niedziela, trzeba na gwałt skończyć już raz z tą kapustą. Ot, jak nie masz co robić, pomógłbyś nam, będzie prędzej. Staszek zgodził się z wielką ochotą, i zaczęli pracować we trzech, rozmawiając to o tem, to o owem. Nareszcie już późno w noc ostatnie worki kapusty były posiekane, i wrzucone do beczki na

kwaszenie, zostało tylko kilkanaście kóp wyborowych główek, które miały iść na sprzedaż, i Marcin obcierając czoło, rzekł: No, chwalić Boga! napracował się człowiek, ale też jutro wytchnie sobie. A nad wieczorkiem, da Bóg doczekać, jak się wróci z kościoła, zajdź do mnie, może jeszcze co nowego uda mi się wydostać.

Rozeszli się na spoczynek, a nazajutrz rano Marcin wyładował wóz, nasmarował osie, i przybrawszy się odświętnie, wyjechał z żoną do miasta, żeby i w kościele być i kupić co z obuwia i przyodziewku, bo to zima była nie za górami, i trzeba było zawczasu zaopatrzyć się, żeby później nie chuchać w ręce. Zośka została w domu sama z małym bratem, bo młodsza siostra wyganiała bydło w pole, póki poranne przymrozki nie zważyły resztki traw, i było jeszcze cokolwiek do skubania na świeżych kapuściskach. Wymiotła czyściutko izbę, przyniosła wody, pomodliła się trochę, i wreszcie nie przyzwyczajona do próżniactwa, znów położyła się, próbując choć zasnąć z nudów.

Przewracała się jakiś czas z boku na bok, ale że miała czas wypocząć dobrze w nocy,

więc sen nie czepiał się jej powiek. Wyszła na podwórko, zajrzała do ogródka, który cały zasłany był zżółkłymi liśćmi, później do stodoły, wypchanej pod sam dach zbożem i nareszcie otworzywszy wrota, prowadzące do stodoły na pole, wyjrzała na drugi otoczony wysokim parkanem ogród, w którym było kilkanaście pni pszczół i w jednym rogu stała nieduża buda, w której Marcin czasami sypiał, szczególniej kiedy pszczoły miały się roić, a w której teraz były na składzie niedawno zerwane jabłka i gruszki. Odsunęła furtkę, zaszła do budy i schyliwszy się zaczęła przetrząsać słomę, wybierając w podołek najbardziej dojrzałe owoce. Naraz posłyszała za sobą skrzypnięcie, obejrzała się i aż jej dech zaparło w piersiach —zobaczyła Iwanowa.

Zerwała się, rozsypując po ziemi wybrane jabłka i chciała uciekać, lecz moskal zastąpił jej drogę i stanąwszy we drzwiach z rozkrzyżowanemi rękami, zaczął się śmiać, aha, moja rybko, złapałaś się! już ja cię pilnowałem dobrze od samego rana, jak tylko twój ojciec odjechał, a teraz ty moja, nie pomoże ci drapanie, nawet lepiej i nie próbuj się bronić. Posunął się ku niej, chcąc ją uchwycić wpół. Dziew-

czyna oglądała się, jakby szukając jakiej broni, i ujrzawszy w kącie motykę, chciała skoczyć po nią, lecz zanim zdążyła się ruszyć z miejsca, już ją opanował silnemi łapami, i wykręciwszy jej ręce wtył, ścisnął jedną ręką jak w żelaznych kleszczach. Zaczęła krzyczeć z całych sił na pomoc, lecz on drugą ręką przycisnął jej usta tak, że nietylko głosu wydobyć nie mogła, ale i dechu jej nareszcie zabrakło i w uszach zaczęło dzwonić. Raz tylko jeszcze udało jej się krzyknąć, gdy ugryzła go do krwi zębami i odjął na chwilę rękę, ale czuła, że już jej sił nie staje i za chwilę straci przytomność. Naraz posłyszała, że Iwanow jęknął głucho i puścił ją w jednej chwili. Spojrzała przytomniej i ujrzała Jacka, który z oczami zalanemi krwią, z pianą na ustach, jedną ręką przygniatał do ziemi głowę Iwanową, aż mu oczy wychodziły na wierzch, a drugą okładał go jak obuchem, gdzie padło. Temu już krew leciała ciurkiem z nosa i ust, w których napewno nie mógł się później doliczyć kilku zębów i ryczał takim głosem, że aż psy zaczęły się zbiegać z całej wioski i ujadały zaciekle, kręcąc się koło budy. Jednak nietylko psy usłyszały alarm, wkrótce cała pasieka zaczęła się napełniać ludźmi, któ-

rzy biegli ze wszystkich stron wystraszeni, nie widząc co się stało. Patrzeli jakiś czas ze zdumieniem na scenę, którą ujrzeli, aż nareszcie wiedząc, że strażnik ledwie już dyszy, a Jacek zaślepiony wściekłością morduje go coraz lepiej, zaczęli go gwałtem odciągać od ofiary. Widząc pomoc, strażnik zerwał się z ziemi, zatoczył się jak pijany i ciskając się, jakby go giez ukąsił, zaczął krzyczeć!

— Bunt, bunt, rozbój! wiąż zbója, buntowczyka, wiąż!

Gdy się jednak nikt nie poruszał na jego wzywania, przyskoczył do sołtysa i targając go za koszulę wołał:

— Cóż ty patrzysz bałwanie, nie widzisz co się dzieje, nie wiesz, jaki twój obowiązek? wiąż go, mówię ci, bo sam zgnijesz jak pies w katordze!

— A cóż go mam wiązać, odmruknął niechętnie sołtys, czy ja wiem, za co? A wreszcie nie ucieka przecież, wskazał ręką na Jacka, który stał między ludźmi, nie mogąc się uspokoić i dysząc ciężko.

Ty nie wiesz, za co, tyś nie widział, co on ze mną robił, z carskim sługą, toś ty taki sołtys! poczekaj, napiszę ja o tobie w protokóle.

A ty podły buntowczyku, dodał zwracając się do Jacka, popamiętasz długo tę chwilę, zdechniesz jak sobaka, nie widząc do końca życia światła dziennego!

Może ty sam zdechniesz prędzej odemnie, odparł Jacek, patrząc na niego śmiało: niechno się dowiedzą, coś ty tutaj robił!

A, ty jeszcze będziesz pyskował! sołtys i wy wszyscy, słyszycie! będziecie świadkami. A tymczasem związać go i do gminy. Tam się spisze protokół.

Nie trzeba wiązać, odparł Jacek, występując z pośród ludzi,ja tam nie będę uciekał przed sądem, bo wiem swoją prawdę.

Dowiesz ty się niedługo jeszcze lepiej, pogroził mu pięścią. Sołtys, konie zaraz i pojedziesz ty sam i jeszcze dwóch chłopów do pilnowania!

Sołtys, skrobiąc się w głowę, rad nie rad poszedł zakładać swoje własne konie, a tymczasem strażnik, sapiąc i poprawiając na sobie potargane ubranie, chodził, pilnując Jacka i spoglądał jak wilk na gromadkę ludzi, którzy okrążywszy płaczącą Zośkę, słuchali ze zgrozą jej opowiadania i mruczeli pod nosem głośne przekleństwa.

Nareszcie po niedługiej chwili przyjechał sołtys, Jacek sam wsiadł na wóz, a strażnik kazawszy Staszkowi i jeszcze jednemu chłopu, jaki mu się nawinął, zająć miejsca po obu jego bokach, sam usiadł naprzeciwko, i ruszyli. Widząc to Zośka i inne kobiety, uderzyły w płacz, ale Jacek odwróciwszy się na wozie, zawołał prawie wesoło: a dyć nie płaczcie, przecież nie na pogrzeb jadę, jeno na sąd, a sprawiedliwość jeszcze jest na świecie!

Nie miał najmniejszego strachu o sobie i gdy podjechali pod gminę, pierwszy zeskoczył z wozu i czekając aż go zawezwą do środka, spokojnie rozmawiał ze Staszkiem, i nawet żartował sobie z jego strapionej miny. Tymczasem strażnik udał się najpierw sam do pisarza i zanim zjawił się wójt, który potrzebny był przy spisywaniu protokółu, opowiedział mu całą sprawę w ten sposób, że Jacek wyglądał w tem opowiadaniu jako najgorszy zbrodniarz, a on sam jako niewinny męczennik. Pisarz był człowiekiem sprytnym i z własnego doświadczenia wiedział, że tacy męczennicy niezawsze bywają bez winy, a podejrzywał, że tym razem Iwanow zasłużył z pewnością na cięgi, ale ponieważ łączyły go z nim rozmaite niebardzo

czyste sprawki, za które, gdyby się wydały, mógł dobrze beknąć, więc też wołał trzymać jego stronę i udał wielkie oburzenie.

A to łotr, mówił: No, będzie on miał za to! Wykombinowawszy sobie, że chłopi tak a tak nie zrozumieją, co będzie napisane w protokóle po rosyjsku, postanowili napisać go i bez ich pomocy, a później przeczytać im tylko dla formy i spytać, o co będzie koniecznie potrzeba. Tak też zrobili, i gdy nadszedł wójt, protokół był już gotów, więc zawezwawszy do kancelaryi czekających na ganku chłopów, pisarz zaczął czytać. Stali łypiąc tylko oczami, jeden Staszek zrozumiał coś nie coś, a gdy czytanie było skończone pisarz zwrócił się do sołtysa: Słyszałeś, jak wszystko było, widziałeś, jak ten oto Jacek Kozik bił strażnika Iwanowa? Sołtys podrapał się w głowę i odrzekł: juści widziałem, ale....

Nie ma żadnych ale; jakeś widział, to się podpisz i kwita, a nie umiesz, to krzyż zrób!

To samo powtórzyło się ze Staszkiem i drugim sąsiadem i po skończonej ceremonii, Jacka kazano odprowadzić do komórki obok kancelaryi, która służyła za kozę. Zdziwił się, chciał się pytać jak, za co, ale nie dali mu mó-

wić, i rad nie rad musiał iść pod klucz, przypuszczając, że przecież nie będą go tu trzymać za to, że bronił dziewczynę od napaści. Kazał więc tylko zawiadomić matkę, która o niczem nie wiedziała, gdyż była w mieście,kiedy się to wszystko stało i obiecywał sobie, że za jaki dzień, dwa, sam się do niej zjawi. Chłopi pożegnali się z nim i ponieważ strażnik zostawał na noc pilnować Jacka, sami zabrali się do domu, rozmawiając po drodze i robiąc rozmaite przypuszczenia, co też z tego wszystkiego może wyniknąć?

Już-że on się bez parę tygodni kozy nie wykręci, mówił sołtys, to pewnie. Iwanow swego nie daruje.

Co to nie daruje, mówił drugi chłop, dyć on sam jeszcze powinien odpowiedzieć za taką napaść, bo przecież na sądzie dowiedzą się, za co oberwał.

Staszek nic się nie odzywał, przypominając sobie, jak to tam w tym protokóle było zapisane. Nie mógł zrozumieć, dlaczego przyplątali tam Marcina, ale o ile mu się zdawało z tego, co zdążył usłyszeć podczas szybkiego czytania, obwiniali tam o coś i jego. Łamał sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki i nie mo-

gąc dojść do niczego, postanowił tylko na wszelki wypadek ostrzedz Marcina, co też uczynił zaraz po powrocie. Wysłuchawszy Staszka Marcin, strapił się trochę, ale nie czując za sobą najmniejszej winy, owszem mogąc nawet mieć słuszną pretensyą do napastnika, uspokoił się wkrótce.

— Chyba ci się przywidziało, rzekł, cóżby oni mogli chcieć odemnie. Może tam wspominali o mnie tylko, dlatego, że to niby na moim gruncie działa się ta bójka!

— Oj nie, odparł Staszek, przecież niedarmo byłem w wojsku, nauczyłem się po moskiewsku. Tam mówiło się o was coś takiego, że niby Iwanow musiał was mieć na oku; dlatego znalazł się w waszej pasiece.

Marcin zamyślił się głęboko, robiąc z sobą obrachunek, czem mógł na siebie ściągnąć podejrzenie i zachodząc w głowę, na jakiej podstawie mogli z niego zrobić winowajcę, kiedy on sam miał niezaprzeczone prawo być oskarżycielem, ale żadna odpowiedź nie przychodziła mu na myśl. Tak przeszło spokojnie parę dni; wszyscy czekali, że lada chwila zjawi się Jacek i opowie na czem się skończyło, aż naraz coś koło środy ktoś przyniósł z gminy wiado-

mość, że Jacka odstawili już do Siedlec pod konwojem, i posadzili w kryminale. Gdy ta wiadomość doszła do Jackowej matki, przybiegła do Marcina z wielkim płaczem, wyrzekając na swoję dolę i obwiniając Zośkę, że to przez nią wszystko się stało. Biednej dziewczynie i bez tego serce się krajało, gdy sobie pomyślała, że chłopiec cierpi tam za nią, a usłyszawszy jeszcze te wyrzekania, aż się zaniosła od płaczu.

— Oj Jezu mój słodki, Jezu! a cóżem ja winna nieszczęsna, biadowała: i za cóż mnie Pan Bóg tak pokarał!

Marcin chodził jak struty. Dotąd nie wiedział sam, czy skarżyć Iwanowa, czy nie; nie chciał z nim zadzierać, ale teraz postanowił nie zwlekać dłużej i zanieść do Siedlec skargę, a zarazem dowiedzieć się czegoś pewnego o Jacku.

Powiedział o tem Jackowej matce, która zaraz poszła do domu przyodziać się i zawinąć dla chłopca trochę jadła i chciał już sam wychodzić i zakładać konie, gdy naraz drzwi się otwarły, i do izby weszła gromada ludzi: Iwanow, jeszcze jakiś strażnik, żandarm z kilkoma naszywkami na rękawie i wójt. Marcinowi

czapka wypadła z ręki i stanął oniemiały, czując coś niedobrego. Spoglądał wylękniionym wzrokiem na wójta, chcąc wyczytać coś z jego oczu, ale ten sam miał minę mocno zafrasowaną, jakby nie wiedział, po co go tu wciągnęli i co ma z sobą robić.

Tymczasem żandarm rozwinął jakiś papier i przystępując do Marcina, zapytał:

— Ty jesteś Marcin Czajka?

— Tak, ja.

— Dobrze. A teraz powiedz, po co tu do ciebie ludzie się schodzą wieczorami?

Marcin wzruszył ramionami, nie wiedząc sam, co ma odpowiedzieć.

— Zwyczajnie po sąsiedzku, odparł.

— Po sąsiedzku! a co ty im tutaj czytujesz?

— Gazetę sobie czasami czytujemy, którą sprowadzamy na spółkę z jednym gospodarzem.

— Aha, a pokażno tę gazetę!

Marcin wydostał ze stolika kilkanaście numerów gazety ludowej, na którą żandarm ledwo spojrzał.

— Co masz jeszcze więcej do czytania?

— Nic nie mam więcej.

— Powiedz lepiej od razu, bo znajdziemy i tak.

— Cóż mam mówić, nic więcej nie mam, powtórzył Marcin.

— No, to się okaże! Otwórz no tę skrzynię!

Marcin otworzył, i zaczęło się przeglądanie. Kazali mu wyrzucić wszystkie rzeczy do samego dna, rozwijali, przetrząsali każdą szmatkę, ale nie znaleźli nic.

— Później przetrząsali łóżka, zajrzeli za piec, do każdej szpary,ale nie znaleźli nic. Marcin domyślił się już, o co im może chodzić, wstąpiła w niego otucha, pewny był, że nie znajdą, czego szukają.

— Nadaremne to wszystko, rzekł: mówię, że nie ma nic, to nie ma.

Żandarm spojrzał na Iwanowa, który najgorliwiej obwąchiwał wszystkie kąty i nie tracił jeszcze miny.

— Jest tu jeszcze komora, rzekł, stodoła, nie może być, iżby on nic nie miał.

Marcina złość wzięła na podłego Moskala, nie mógł wytrzymać, żeby mu nie powiedzieć:

— I kiedyż to pan widział co u mnie? Może wtedy, jak pan napastował moję córkę!

— Stul gębę, ty sobacza duszo, wrzasnął na niego: twoja córka jest ladacznica, co się włóczy po nocach i jeszcze przyjdzie czas, że ją pogonią kiedy do rewizyi lekarskiej, jak ją spotkam jeszcze raz na wsi po nocy.

Marcin ścisnął pięść tak, że aż paznokcie do krwi wbiły się w dłoń, ale nie odrzekł ani słówka, tylko pobladł jak trup.

Przeszukali jeszcze komorę, poszli do stodoły, później do owej budy, pamiętnej dla Iwanowa, przetrząsali widłami słomę, wszystko napróżno. Zmęczyli się tak, że aż im pot wystąpił na czoło, zakurzyli się od zaglądania w rozmaite dziury, wreszcie zniechęceni zabierali się do odwrotu.

— Pamiętaj ty sobie, rzekł na pożegnanie żandarm, nie znaleźliśmy nic, ale jeżeli będziesz ty jeszcze kiedy czytywał ludziom choćby gazetę, no!... pogroził mu ręką i wynieśli się.

Po ich odejściu Marcin odetchnął swobodniej i podziękował gorąco Bogu, że go natchnął myślą schowania owej książeczki, którą czytał Staszkowi, w takie miejsce, że nikomu nawet by i na myśl nie przyszło szukać jej tam. Pewny był, że Iwanów od nikogo nie mógł się dowiedzieć o jej istnieniu i że przez zemstę tyl-

ko próbował, czy mu się nie uda zgubić ojca dziewczyny, przez którą spotkał go taki nieprzyjemny wypadek.

Na wspomnienie potwarzy, którą ośmielił się rzucić w żywe oczy na jego dziecko, aż zębami zgrzytnął, lecz zarazem zaczął się zastanawiać, że gdyby go rozdrażnić jeszcze bardziej skargą, to gotów donieść o dziewczynie jak o zwykłej ladacznicy i choć później oszczerstwo by się wydało, ale dziewczynie mógłby tymczasem narobić ciężkiego wstydu na całe życie. Ta myśl zmieniła jego postanowienie i dla świętego spokoju wyrzekł się już zamiaru podawania skargi, woląc przecierpieć to, co już się stało, niż narażać się na co gorszego.

Do Siedlec chciał jechać, ale tylko dla uspokojenia starej Michałowej, gdyż biedna kobieta zostawszy sama jedna z młodszym bratem Jacka, który potrafił zaledwie bydło pasać, straciła zupełnie głowę i biegała tylko od swojej izby do Marcina, zawodząc po swoim najstarszym jak po nieboszczyku i wyrzekając wciąż na Zośkę, która sama chodziła z kąta w kąt, jak nieprzytomna, z opuchniętemi od płaczu oczami, nie mogąc się niczem zająć, gdyż wszystko, czego się tknęła, wypadało jej z rąk.

Dziś jechać było już zapóźno, gdyż rewizya zajęła prawie cały czas do południa, ale nazajutrz mieli się wybrać świtkiem i Marcin zaczął przysposabiać dla koni obrok na parę dni, żeby można było zatrzymać się w Siedlcach, jeżeliby nie udało się załatwić w jeden dzień.

Tymczasem jeszcze tego samego wieczoru przybiegł Staszek z kartką, którą otrzymał z gminy, wzywającą go na sobotę do sędziego śledczego. Takie same kartki otrzymali sołtys i jeszcze jeden chłop, który odwoził Jacka do gminy i był zapisany w protokóle jako świadek. Niebawem przyszli oni sami, i zaczęli się naradzać, co robić, i jak mówić. Chłopi byli trochę przestraszeni, gdyż w zwykłych sprawach, jakie im się zdarzyły w życiu, nie mieli oni nigdy do czynienia z sędzią śledczym i słyszeli tylko, że prowadzi on badanie w bardzo ważnych wypadkach, jak np. kiedy ktoś zabije, podpali, lub coś podobnego.

Marcin również zafrasował się bardzo, gdyż lubiał on Jacka i w duchu się nawet cieszył z tego, że lgnie do jego Zośki, obiecując sobie, że kiedyś będzie jego zięciem, a zgadzał się z nimi, że sprawa musi być nie na dobrej drodze, kiedy się do niej zabierają w ten sposób. Nie

mówił nic, ale postanowił sobie, że zaraz jutro przy sposobności poradzi się adwokata i jeżeli będzie potrzeba, nie pożałuje nawet własnego grosza, gdyż z Jackowego gospodarstwa nie było się na co oglądać.

Nazajutrz, przyjechawszy do miasta, poszli najpierw oboje z Michałową do więzienia, w którym był zamknięty Jacek, lecz nadaremna była ich droga. — Sledztwo nie było jeszcze przeprowadzone, więc się z nim nie było można widzieć.

Napróżno Michałowa błagała z płaczem naczelnika, żeby jej pozwolił choć zdaleka popatrzyć na syna, napróżno ściskała go za kolana — skończyło się na tem, że znudzony kazał ich wyrzucić za drzwi i zrozpaczona kobieta, płacząc jak małe dziecko, pozwoliła Marcinowi prowadzić się, gdzie mu się podoba, nie widząc świata przez łzy. Zostawił ją przy wozie, a sam poszedł do adwokata, którego znał oddawna jako bardzo uczciwego człowieka i z którym mógł pogadać zupełnie szczerze. Adwokat powitał go bardzo uprzejmie, lecz wysłuchawszy, o co mu chodzi i dowiedziawszy się jeszcze o rewizyi, która się u niego odbyła, zasępił się bardzo.

— Niedobrze jest — rzekł — bardzo niedobrze. A jeszcze gorzej to, że żaden adwokat nie podejmie się tej sprawy bronić, a ja, choćbym chciał — nie mogę. Już i tak mają mnie w silnem podejrzeniu i tylko czekam, kiedy się do mnie samego zabiorą.

Marcin smutnie zwiesił głowę.

— Więc nie ma na to rady? — zapytał po chwili.

Adwokat wzruszył ramionami.

— Byłaby — pogadać z tym strażnikiem, choć i to nawet nie, bo w tym przypadku cofając się, pogrążyłby sam siebie.

Porozmawiali jeszcze trochę, lecz widząc, że adwokat żadnej innej rady nie znajduje, Marcin pożegnał się i wyszedł zgryziony ogromnie. Żal mu było chłopca, jak rodzonego syna, a przykro mu było jeszcze bardziej, że musiał cierpieć, stanąwszy w obronie jego córki. Dałby był nie wiem co, żeby tylko wynaleść jakiś sposób ratowania go, ale po tem, co usłyszał, ręce mu wprost opadały. Powróciwszy do domu, nie wspominał przed nikim o swojej rozmowie z adwokatem i opowiedziawszy tylko w krótkości, jakby się chciał odczepić, jak im się to udało z naczelnikiem więzienia, zabrał się

do obrządku. Opatrzywszy swoje gospodarstwo, zajrzał do Jackowego i widząc, jaki tam nieład panuje od czasu, jak nie stało gospodarza, podjął się dobrowolnie zastąpić jego miejsce, póki się coś pewnego nie okaże i nakazał też swoim pomagać we wszystkiem Michałowej, która z wielkiej żałości była zupełnie do niczego niezdatna.

Tymczasem nadeszła i sobota, chłopi wybrali się do śledczego i powróciwszy, opowiadali, jak i o co ich pytano. Nie wiele z tego można było wymiarkować, aż nareszcie jednego dnia miało się wszystko wyjaśnić, gdyż świadkom znowu doręczyli kartki, żeby się stawili na sąd. Gdy wyszedł Staszek, który przyniósł tę wiadomość, zbliżyła się do Marcina, Zośka, dotąd cichutko w kącie, przysłuchująca się rozmowie i stając przed nim z opuszczoną głową, zaczęła prosić nieśmiało:

— Tatusiu, mościewy, weźcie i mnie ze sobą, niech i ja go też zobaczę.

Marcin spojrzał na jej wybladłe jagody, dojrzał łzy, które drżały na jej opuszczonych rzęsach i serce mu się boleśnie ścisnęło. Westchnął cicho i odwróciwszy się od dziewczyny

żeby nie spostrzegła wyrazu jego twarzy, rzekł: ha, dobrze, to się zbieraj.

Dziewczyna ucieszona zaczęła się krzątać koło przyodziewku, a on patrzał na nią z pod oka i myślał: Co jej mam żałować, niebodze, może to ostatni raz!....

Michałowa też chciała jechać, więc wybrali się dwoma furmankami, na jednej, Marcinowej, — on sam z córką i Michałową, a na drugiej Staszek z dwoma innymi świadkami.

Przyjechali do miasta i zostawiwszy konie w zajeździe, udali się do gmachu sądowego.

Przed Jackową sprawą osądzili jeszcze wpierw kilka innych, więc siedzieli wszyscy na ławach sali sądowej,czekając z niecierpliwością, aż nareszcie woźny zawołał: Sprawa Jacka Kozika, świadkowie niech wyjdą z sali!

Serce zabiło im jak młotem i po chwili bocznemi drzwiami wprowadzili Jacka. Był on blady jak trup, wynędzniały, dawno nieprzystrzygane włosy w nieładzie spadały mu na czoło. Gdy go Michałowa zobaczyła, uderzyła w płacz, lecz w tejże chwili woźny kazał jej się wynosić z sali, ledwie się wyprosiła i przykładając chusteczkę do ust, żeby stłumić łkanie, zapatrzyła się w niego cała, nie słysząc i nie

widząc nic więcej, co się koło niej dzieje i tylko łzy wielkie jak groch płynęły jej cicho po zmarszczonej twarzy. Tymczasem zaczęto czytać akt oskarżenia, w którym się mówiło, że Jacek Kozik, włościanin ze wsi Jaworowa, napadł i pobił strażnika Iwanowa, zastawszy go na gruncie Marcina, na którego jako wielce podejrzanego wyżej wspomniany strażnik Iwanow musiał dawać pilne baczenie.

Następnie zaczęli wywoływać po kolei świadków, między którymi był ku wielkiemu zdziwieniu Marcina i sam Iwanow, który świadczył, że istotnie dnia tego i tego został mocno pobity. Lecz nie zdążył jeszcze Marcin dostatecznie wyrozumieć, w jaki sposób oskarżający mógł zarazem być świadkiem na własną korzyść, gdy przesłuchiwanie świadków skończyło się i sędziowie wyszli do przyległego pokoju na naradę. Nastała chwila pełnego niepewności oczekiwania, po której rozległ się okrzyk woźnego: Wstać! Wszystko ucichło, jak makiem zasiał, weszli sędziowie i jeden z nich zaczął czytać: Imieniem jego imperatorskiej mości taki to a taki Jacek Kozik za obrazę państwa w osobie jego urzędnika, przez czynne znieważenie tego ostatniego przy spełnianiu

przez niego obowiązków służbowych, został skazany według paragrafu tego a tego na osiedlenie w Syberyi.

Sędzia skończył już czytać, a cisza wciąż była taka, że słychać było bzykanie jakiejś nieszczęsnej muchy, która tłukła się o szybę, chcąc koniecznie wylecieć na zimne jesienne powietrze, jakby nie rozumiała tego, że tam czeka ją śmierć i że tylko ogrzane mieszkanie utrzymuje ją jeszcze przy życiu.

Michałowa słuchała, nie rozumiejąc ani słowa; nie rozumiała nawet wtedy jeszcze, gdy w koło niej zaczęli szeptać: Na osiedlenie, na osiedlenie! Aż nagle rozjaśniło jej się w głowie, spojrzała po patrzących na nią ze współczuciem twarzach obecnych i krzyk strasznej rozpaczy wydarł jej się z piersi. Skoczyła do Jacka jak szalona, uczepiła go się z całych sił rękami wołając: Moje dziecko, moje dziecko! Żołnierz konwojujący Jacka oderwał ją przemocą i wypchnął za ogrodzenie. Na chwilę przycichła, jakby zupełnie przybita nieszczęściem, lecz naraz wyprężyła się kurczowo targając na sobie odzież i siwe włosy i zaczęła krzyczeć takim głosem, że aż wszystkim serce w piersiach zamierało: O wy zbóje, wołała, grożąc pięściami

sędziom, którzy nie wiedzieli na razie, co z sobą zrobić; wy mordercy podli, bogdaj wam Bóg dał tyle godzin ciężkiego skonania, ile ja łez na was wylałam! bogdaj was własne dzieci wywieszały za wasze łotrowstwa, bogdaj... nie dali jej więcej mówić, gdyż w tej chwili zabrzmiał dzwonek prezesa, który skinął na strażników: Won z nią!

W jednej chwili wyrzucili ją ze sali na kamienne schodki. Upadła tłukąc po nich siwą głową i nie pozwalając jej podnieść Marcinowi i innym, którzy wyszli za nią i chcieli przemocą odciągnąć od tego miejsca, gdzie ją taki cios spotkał.

Staszka już nie było. Usłyszawszy wyrok na razie stanął jak oszołomiony, lecz gdy Michałowa zaczęła krzyczeć, ocknął się. Zrobiło się z nim coś takiego, czego dotąd nigdy nie doznawał. Zdawało mu się, że każdy jej krzyk rozdziera mu czaszkę, świdruje aż gdzieś tam do samego mózgu, sprawiając taki ból, że nie mógł dłużej wytrzymać — uciekł. Przybiegł prosto do zajazdu, w którym zostawił konie, i nie czekając na swoich towarzyszów, zaprzągł czemprędzej i wyjechał, jakby go co pędziło, sam nie wiedząc, gdzie jedzie i popędzając tyl-

ko co chwila konie. Dopiero wyjechawszy dobry kawał za miasto, obejrzał się i poznał, że jedzie zupełnie nie w tę stronę, w którą było potrzeba. Zawrócił i pojechał już zwolna, słysząc ciągle w uszach te rozdzierające krzyki. Głowa go bolała, więc zdjął czapkę, wystawiając czoło na drobniutki deszcz, który siał się jak przez sito, zasnuwając wszystko przed oczami.

Ciężkie ołowiane chmury wlokły się leniwie jedną zbitą masą tak nizko nad samą ziemią, że zdawało się, iż lada chwila osuną się i wtłoczą wszystko w oślizgłe zimne jesienne błoto.

Staszek zadumał się, a ciężko mu było na sercu, tak ciężko, że po prostu żyć mu się nie chciało. Przejechał znowu całe miasto, wyjechał na swoją właściwą drogę i powlókł się krok za krokiem, puściwszy zupełnie lejce i dając swobodę koniom, które szły ze spuszczonemi łbami, pracowicie wyciągając z błota grząznące po same pęcmy nogi.

Nagle usłyszał wołanie. Obejrzał się i aż się coś w nim zagotowało. Poznał Iwanowa, który w błyszczącym gumowym płaszczu, z kapturem na głowie szedł trochę suchszą ścieżką obok drogi.

— Ej ty, podwieź mnie — wołał.

Staszek w pierwszej chwili wziął za bat, chcąc podpędzić konie, lecz zmienił widać zamiar i stanął.

Iwanow usadowił się na wozie i pojechali. Z początku milczeli obaj i dopiero po jakimś czasie Iwanow zaczął chrząkać i kręcić się, jakby chciał zagadać, a coś mu przeszkadzało. Nareszcie zaczął mruczeć tak jakoś trochę niewyraźnie, jakby sam do siebie:

— Buntowczyk, nie wiedział, na kogo rękę podnosi.

Staszek nie odzywał się, wpatrzony uparcie przed siebie.

Iwanow zrobił jeszcze kilka uwag, ale widząc, że nie znajduje powolnego ucha u swego kompana, powoli zacichł i powoli zaczął się kiwać z boku na bok, drzemiąc i marząc o wachmistrzowskim stopniu, który już mu się uśmiechał z daleka za tyle okazanej gorliwości i przelanych łez ludzkich.

Dojechali w ten sposób aż do figury, przy której droga rozdwajała się; jedna prowadziła do Jaworowa, a druga przez las do sąsiedniej wsi.

Staszek uniósł się z lekka na siedzeniu,ro-

zejrzał się po okolicy, spojrzał przez ramię na drzemiącego wciąż Iwanowa i skręcił w las. Jechał jeszcze wolniej, wymijając starannie wszelkie zagłębie i nierówności, jakby się bał utrząść i nasłuchiwał z zapartym w piersiach oddechem, czy się nie porusza żywiej; a jednocześnie rozwięzywał nieznacznie powróz, którym były ściągnięte półgrabki, i na jednym jego końcu zrobił zadzierg.

Nagle koło stuknęło mocniej o gnijący w kałuży na środku drogi korniak, Iwanow przetarł oczy, rozejrzał się ze zdziwieniem i zapytał:

— A ty gdzie jedziesz?

Staszek drgnął nieznacznie, przechylił się uważnie naprzód i wyjąkał:

— Jałowcu upatruję na biczysko.

Słowa przechodziły mu z taką trudnością przez gardło i głos tak mu się jakoś zmienił, taki był głuchy, jakby drewniany, że Iwanow uczuł mimowoli jakiś dziwny niepokój koło serca i rzekł:

— Co ty się będziesz włóczył za biczyskami! Ot, zawracaj lepiej do domu, bo już póź.... — nie skończył, gdyż w tej chwili Staszek zwrócił ku niemu twarz, która wyglądała tak strasznie, z kurczącemi się wargami, z pod któ-

rych błyskały zaciśnięte zęby, oczy świeciły z pod zsuniętych brwi tak dziko, że słowa zamarły mu na ustach. Chciał się zerwać z miejsca, lecz w tej chwili mignęła w powietrzu pętla i zamotała mu się koło szyi: Staszek wstał na nogi, pociągnął ku sobie z całych sił i pognał w las co koń wyskoczy.

Powrócił do domu już późno w noc, a widać było po koniach, które gwałtownie robiły bokami i były po same brzuchy uwalane w błocie, że odbyły podróż nielatwą.

Nazajutrz chłopi, których zostawił w mieście, mieli do niego trochę pretensyi, lecz usprawiedliwił się przed nimi, że wyjechał tylko na parę godzin odwiedzić jednego znajomego z wojska, tuż za Siedlcami, a wróciwszy do zajazdu, już ich nie zastał, i dali mu spokój.

A Iwanow przepadł gdzieś jak kamień w wodę.

Napróżno rozpytywali się o niego po całej okolicy, — nikt go od czasu sądu na oczy nie widział. I dopiero coś na wiosnę znaleźli w lesie o kilka mil od Jaworowa jakąś zgniliznę w ubraniu, w której podejrzywali spuściznę po Iwanowie; ale czy tak było w istocie, o tem nikt nigdy się nie dowiedział.

Tymczasem nietylko Staszek wziął tak sobie do serca niedolę Michałowej. Był tam na sądzie również ów młody adwokat, do którego Marcin zwracał się o poradę. Ten usłyszawszy nielitościwy wyrok, usłyszawszy rozpacz biednej matki, zastanowił się. Zaczęło go ogarniać coś jakby palący wstyd, że on, mogąc w czemś pomódz biednym ludziom, nie zrobił tego przez podłe tchórzostwo. Uczucie to nie dawało mu spokoju ani dniem, ani nocą, ciągle miał przed oczami nieszczęśliwą starowinę, opłakującą za życia jedyną swoję podporę, aż jednego dnia zabrał się i pojechał gdzieś.

Nie było go coś miesiąc, ale widocznie nie nadaremnie jeździł i nie szczędził zachodów, gdyż oto sąd zawezwał znowu wszystkich świadków i zaczęło się badanie, ale tym razem już dużo sprawiedliwsze, niż przed tem. Iwanow, o którym mówili, że go wódka zalała, nie mógł już kręcić na swoją stronę, sprawa poszła na wyższy sąd, aż na skutek tego wszystkiego w jeden świąteczny dzień, już koło maja, gdy nasi znajomi z Jaworowa stali na błoniu, grzejąc się na słońcu i gwarząc o urodzajach, ujrzeli na drodze jakiegoś chłopinę, który szedł prosto do nich. Dziwno im było, że psy nie

szczekały na chłopa, a łasiły się jak do znajomego, lecz przestali się dziwić, gdy podszedł bliżej.

Był to Jacek.

Zwrócili go już z miejsca, na dalekiej północy, gdzie biedak miał spędzić całe swoje życie i wracał teraz do swoich, sam ledwie śmiejąc uwierzyć w swoje szczęście, bojąc się, czy znów po jakimś czasie nie zechcą go pędzić z powrotem.

Trudno opisać radość, która zapanowała w całym Jaworowie. Ludzie zapominali o robocie, schodzili się jak na odpust do Jackowej chaty, oglądając go, rozpytując, i nie uspokoili się wcześniej, aż pewnego dnia Marcin przywiózł kilka beczek piwa i zaprosił wszystkich na gody, po których Zośka, niby płacząc a jednocześnie śmiejąc się radośnie przez łzy, zaczęła nazywać się Jackową i została gosposią w Jackowej chacie.